

Menedżer czy inteligent... czyli mit anglisty w kontekstach

Wymienione w tytule konteksty zakładają, że nie chodzi nam jedynie o uśredniony wizerunek jakiegoś problemu. Chodzi może o niuanse, które istnieją, ale bywają lekceważone lub ukryte za skonwencjonalizowanym pozorem mitu. Jeśli mówimy o „micie”, interesuje nas głównie wspólnota i „wspólnotowość”, chociaż zmuszeni jesteśmy – i jest to ważne założenie – uwzględnić w tej dyskusji rolę indywidualności. Badanie życia wspólnot wiedzie zatem ku zagadnieniom indywidualności i odwrotnie. Praca dla innego i dla siebie, paradoksalnie rzecz ujmując, wzajemnie się napędzają i jednocześnie wykluczają. Tu obieg się zamyka. Problemat i wizerunek „anglisty” wykazuje różnorakie zbieżności z Robinsonem Crusoe – literackim portretem pioniera w czasach kształtowania się kapitalizmu. Genialność motywu Robinsona to nic innego jak wyjątkowo barwne ukazanie historii konfliktu, ale też i nieuniknionego współdziałania między egotyzmem, a potrzebą bycia z innym i z innymi. Nikt nie potrzebuje społeczeństwa tak, jak ten, który pragnie żyć z inwestycji i, co za tym idzie, z jakiejś formy wyzysku. Crusoe i Moll Flanders, postaci literackie Daniela Defoe, uczą nas, że dojrzałość społeczna to między innymi pielęgnowanie uważności – by obudzić się zawsze tam, gdzie osiąga się korzyści.

Zdaje się, że zarówno „angliście”, a raczej jego pewnemu pionierskiemu typowi, jak i Robinsonowi los i przy okazji opatrność wyznaczyły ważne role. Obydwoje nacechowani są skrajnym „zindywidualizowaniem” i poczuciem własnej wyjątkowości, obydwójce wykazują się plastycznością światopoglądową oraz gotowością do poświęcenia swoich idei, by, jak kot, zawsze upaść na cztery łapy i – koniecznie – tam, gdzie trzeba. Nic nie wyraża istoty zaradności indywidualnej jak Robinsonowski epizod, w którym protagonista znajduje złote monety na wraku swojego statku. Rozbitek niczym kaznodzieja purytański wygłasza wzniosłą, niemal elegijną tyradę przeciwko tej truciznie ludzkich dusz, ale nie widzi nic na przeszkodzie, by nie zabrać sobie tej całej fortuny, chwilowo bezużytecznej, „na wszelki wypadek”. „Dobry” anglista musi się więcej napracować, by coś osiągnąć i wytargować od opatrności pomyślność, ale mechanizm przekładania oficjalnych idei na czyny działa na podobnych zasadach. Bodaj już od szóstej dekady zeszłego stulecia ten uprzywilejowany i wybrany filolog obcy uważa się za szczególnie utalentowany podmiot tej kultury i tego kraju,

„pozwalając” się wykształcić na koszt jego podatnika. Anglista jest w zasadzie patriotą i, jak angielski *gentleman* poprzedniego przełomu wieków, oficjalnie czuje się zobowiązany by służyć swojej ojczyźnie. Jak wiemy, obywatele *tego* kraju postrzegają siebie jako naród wyjątkowo doświadczony, mocno uduchowiony i bardzo przywiązany do wszelakich gestów heroicznych. Ale – i jest to realistyczny ekwiwalent Robinsonowego motywu przywłaszczenia sobie złotych monet – jeśli nadarzy się okazja, ów Anglista nie omieszką wybrać sobie jako miejsca swojego zamieszkania zupełnie innego, najlepiej o wiele bogatszego kraju. Rzecz w tym, że w przeciwieństwie na przykład do kadry informatycznej, która przydaje się zawsze i wszędzie, kapitałem filologa jest, niestety, jego użyteczność tam, gdzie trzeba uczyć lub tłumaczyć coś z języka na inny język. Pracując w tej branży raczej nie ucieknie się daleko od własnych źródeł i własnego języka. Nikogo nie stać na to, by zapomnieć, że Anglicy i Amerykanie też szukają ciekawej pracy, a swój język znają najlepiej. Raczej trzeba będzie tu zostać. Przytoczony tu model pioniera jest już dziś nieco przestarzały, ale należy go pamiętać, gdy studiuje się naturę przekształceń społecznych i ustrojowych na przełomie epok (komunizm, powrót do kapitalizmu) oraz stuleci (w świadomości powszechnej zawsze aktualna karnawaliczna magia przełomu wieków.) Metodologicznie, niniejsze studium portretu anglisty podlega pod szeroką dziedzinę krytyki kultury (*culture studies*) – czyli, w oczach socjologów, niepokojąco szeroką dziedzinę krytyczną i interpretacyjną nieśmiało ściągniętą na grunt rodzimy... właśnie przez anglistów. Nie chodzi jednak o to, by snując wywody na tematy kulturowe z różnych perspektyw brać studia socjologiczne za rogi. Wręcz przeciwnie, należy je szanować jako źródło obiektywnej oceny uwierzytelnionej konkretnym zapleczem statystycznym. Należy też raczej uzupełnić rygorystyczną wizję akademicką subtelnyymi – wracamy do tytułu i pierwszego zdania niniejszego szkicu – „kontekstami” właśnie. Nie sposób uchwycić specyfiki relacji między kanonem humanistycznym, a kulturą zupełnie lokalną, peryferyjną bez poszerzenia i reformowania pojęć używanych przez akademików na całym świecie. Ferdynand Braudel śmiało dopomina się, by w dyskusji o charakterze historiograficznej nie pomijać, na przykład, uwarunkowań klimatologicznych. Wszystko ma swój klimat – dodamy – zarówno w sensie symbolicznym jak i bardzo potocznym oraz wszystko ma miejsce wytyczone przez język lub jakąś dyscyplinę nauki. Są jednak, o czym często się zapomina, pomosty, bramy i „schody” łączące dyscypliny, wglądy, „klimaty”, sposoby i style deskrypcji i tak dalej. „Przekonany jestem, że nie ma ścisłych granic między naukami humanistycznymi. Każda z nich jest bramą otwartą na całość rzeczywistości społecznej, prowadzącą do wszystkich izb i na wszystkie piętra domu, pod warunkiem, że badacz nie zatrzyma się w swojej wędrówce ze względu na szacunek dla swych sąsiadów-specjalistów;

korzystajmy, jeżeli tego trzeba, z ich własnych bram i schodów”¹. Ironiczną ilustracją tego punktu „oglądu”, wedle wielu tradycjonalistów mogą okazać się „schody” genialnego grafika M. C. Eschera, ale nie ma powodów, by nie próbować – w zasadzie nieustannie – zmieniać perspektywy oceny rzeczywistości. Chodzi tu między innymi o to, by nie powtarzać tych samych błędów w nieskończoność oraz o to, by nie powielać jałowych schematów metodologicznych, zwłaszcza jeśli te ulegają szybko przedawnieniu.

* * *

Culture studies powstały na gruncie krytyk społecznych, które również nie bujają w obłokach duchowości – jest to raczej ujęcie kultury jako sceny konfliktów i antagonizmów. „Studia kulturowe interesują się konfliktami, a nie ładem. Dociekają i antycypują je na poziomie bezpośredniej interakcji, ale także, co ważniejsze, na poziomie znaczeniowym”². Naturalnie zredukowanie wszystkiego do płytkiej opozycji walki „klasowej” trąci dziś niepoważnym anachronizmem. Ważne jest dzisiaj raczej poszerzenie sceny obserwacji społecznej, czyli, według Raymonda Williama, podpatrywanie i opisywanie kultury jako *a whole way of life*. Studia kulturowe zajmują się więc przedstawieniem rozwoju życia wspólnot jako efektu nieustającego pasma sporów. Inaczej, w dziedzinie tej bierzemy na warsztat jakąś istotną konfrontację na całej linii kontaktów społecznych, a, dodajmy, relacja anglisty ze swoimi subtelniejszymi „kontekstami” jest dobrym tego przykładem. Krytyka kultury przypatruje się związkom pomiędzy zachowaniem społecznym a subiektywnością, demaskuje gry władzy tam, gdzie nie sięgają podręcznikowe metodologie społeczno-polityczne. W tych dość interdyscyplinarnych dochodzeniach chodzi o zagadnienia związane z „formowaniem się podmiotów oraz ich doświadczanie kulturowej i społecznej przestrzeni”³. Krytycy kultury dość szeroko określają zakres interesujących ich dyscyplin – ekonomia, polityka, „media”, informacja, socjologia, oświata, nauka i technologia, antropologia, historia – to wszystko z dużym naciskiem na *gender* (krytyka płci), problemy rasowe, klasy społeczne, seksualność itd. Ta mieszanka, jak widać, niezbyt dobrze brzmi po polsku – tłumacz, który czuje choć trochę problematykę stylu i poprawności stylistyki w przekładzie, najprawdopodobniej wolałby zostawić niektóre określenia

1 Fernand Braudel, *Historia i trwanie*, przeł. Bronisław Geremek, Czytelnik, Warszawa 1999, s. 233.

2. Chris Jenks, *Kultura*, przeł. Wojciech J. Burszta, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 1999, s. 202.

3. Toby Miller, *What it is and what it isn't: Introducing...Cultural Studies*, w: *A Companion to Culture Studies*, <http://www.blackwellreference.com/subscriber/tocnode?id=g9781405141758_chunk_g_97814051417582_13> (10.05.2007).

nietknięte (*power, media, gender, race*) oraz w ogóle nie brać się za te zagadnienia w kontekście własnej kultury. Tak czy inaczej, taki „mix” nawet po angielsku nie zawsze spodoba się np. socjologom. „Studia kulturowe odrzucają wartości absolutne – robią to, co chcą (a niekiedy dowodzą tego, czego pragną dowieść!)”⁴. Ale studiów tych nie należy odrzucać tak szybko – przecież nie wszędzie dotrże profesjonalna statystyka. Rygorystyczny „pomiar” socjologiczny nie jest w stanie, na przykład, ujawnić działań oportunistów politycznych, czyli „poprawnych politycznie” ludzi interesu bez względu na panujący system i bynajmniej nie chodzi o wszelkiego rodzaju lustracje. Trudno jest również wepchnąć do tabeli policzalnych wartości marginalne praktyki – na przykład – subkultur i ich pochodnych. Nie chcemy uciekać od socjologii. „Poziom bezpośredniej interakcji”, w naszym przypadku – chociaż wolimy tę frazę jako cytata – dotyczy problemu relacji anglistyki (to jest, anglistyki przełomu ustrojowego) z charakterystycznymi zjawiskami kultury tej doby w następujących kontekstach:

- Kontekst pierwszy: kształtowanie się klasy średniej i erozja tzw. inteligencji; oraz różne funkcje społeczne „inteligencji” – między innymi jako znaczący głos w liczebnie skromnej, ale na szczęście jeszcze nie wymarłej klasy inteligencji twórczej.
- Kontekst drugi: ukryte problemy i cele zawodowe inteligenta-anglisty jako uprzywilejowanego strażnika „pomostów” między kulturami i językami.

I

Kontekst i contest. Na początek zakładamy, że przełom ustrojowy przyniósł konieczność promocji i wyklarowania się pojęcia średniej klasy w nowym społeczeństwie pokomunistycznym. Intuicja i zdrowy rozsądek każą wierzyć, że zaczynem tejże grupy społecznej była inteligencja. Czy klasa średnia ma zatem cokolwiek wspólnego z „inteligencją”? PozwólmY sobie na uwzględnienie splotu znaczeń – też w sensie ogólniejszym. Odpowiedź – chyba tak. Skoro podstawą racji bycia *middle-class* jest osiągnięcie szeroko pojętego prestiżu w społeczeństwie, co historycznie nawiązuje do rywalizacji między ludźmi interesu i arystokracją, podbijanie swojej wartości poprzez wykształcenie jest w tej sytuacji sprawą bezdyskusyjną. Ale wykształcenie i tytuł to nie wszystko. Kultura literacka Anglików obfituje w przykłady postaci, powiedzmy, bezczelnie zaradnych, (*knaves, rakes, tricksters*) tak jak Autolycus z *Winter's Tale* lub Horner z *The Country Wife* (jedna z setek komedii czasu restauracji Stuartów), którym los nie każe

4. Chris Jenks, *Kultura...*, s. 202.

pokutować za „zło” uczynione innym⁵. Oczywiście brak demonizacji tego dość próżnego cwaniactwa należy traktować z przymrużeniem oka – te dzieła literackie przynależą do rejestrów komicznych. Ta pobłażliwość dotyczy tylko wszelkich wykroczeń, jak byśmy to dzisiaj ujęli, o niewielkiej szkodliwości społecznej. *Rake* może nie jest prawowiernym modelem dla klasy stawiającej na *professions*, ale symbolizuje konieczność uznania mobilności i witalności jako podstawy wizji sukcesu. W dojrzałym klasycyzmie nikczemność zostaje ukarana w imieniu wszelakich autorytetów oświeconych – Tom Rakewell, czyli rozpustny *rake* z płóciennego Williama Hogarta kończy w Bedlam, najszlachetniejszym w Anglii i Londynie przytułku dla obłąkanych. Wniosek – dobry kapitalista, paradymatyczny okaz nowej klasy panującej jakoś musi wyważyć swoje postępowanie. Po pierwsze zdecydowanie nie może dać się ponieść emocjom i, raczej jak Robinson, nie oczekiwać zbyt wiele od złudnego świata wdzięków i rozkoszy.

Niczym Robinson Crusoe (z pewnością skończony *rake* dla feministek), średnioklasowiec musi się ruszać, narażać swoje życie, zawierzyć opatrności, ale może przede wszystkim starannie prowadzonej buchalterii... i, na każdym kroku, pomnażać swój kapitał. I tak przez całe życie. W przypadku inteligenta PRL, o ile tenże nie uczestniczył w walce o niepodległość swojego kraju, dynamika poczynań życiowych, zwłaszcza w kwestiach zawodowych, była mierna. To prawda, inteligent z pewnością górował poziomem wykształcenia nad absolwentem przeciętnego uniwersytetu zachodnioeuropejskiego, ale nie cieszył się jakimkolwiek dobrobytem, jeśli za punkt odniesienia w ocenie materialnego standardu życia przyjmujemy kryteria światowe. „Nie był to zwykły dystans, ale drastyczna różnica, która pozbawiła polską inteligencję wszelkich szans na osiągnięcie statusu klasy średniej, mimo że zajmowała ona porównywalne miejsce w strukturze społecznej”⁶.

Niemal na wszystkich poziomach życia w uduchowionej kulturze polskiej dominuje zastój, stan niemalże historycznie uświęcony jako tradycyjna podstawa dumnej i „stabilnej” tożsamości narodowej. Ideologia tak zwanej Czwartej Rzeczpospolitej najwidoczniej zapragnęła jak najwięcej wycisnąć z tego archaicznego nawyku samooceny polskiej. Poczucie obrony stabilności swojej kondycji było również podporą porządku życia komunistycznej ojczyzny. Polskiemu inteligentowi w czasach PRL wystarczyło skończyć studia, by wybrać sobie czekający

5. Robert D. Hume, *The Myth of the Rake in „Restoration” Comedy*, w: „Studies in Literary Imagination”, 10 (1977), s. 29. Moda na krewkiego hultaja w latach sześćdziesiątych była przykładem swoistego odreagowania na obskurantyzm reżimu purytańskiego, który doprowadził do zastoju kulturalnego Anglii. Światopogląd literacki okresu restauracji Stuartów szczylił się swoim „libertyńskim” pochodzeniem inspirowanym pośrednio, a może wręcz z grubsza, pismami Thomasa Hobbesa i Niccolò Machiavellego.

6. Henryk Domański, *Polska klasa średnia*, Monografie FNP, Wrocław 2002, s. 24.

na niego etat „będący stałym, chociaż odległym i niezobowiązującym elementem myślenia o przyszłości, który zależał mniej od zapobiegliwości samych jednostek niż od reguł funkcjonowania systemu”⁷. Oczywiście, o czym praca socjologiczna nie mówi, dobrodziejstwa tego daru od systemu mogły być zwielokrotnione poprzez wybranie poprawnej opcji światopoglądowej. Sukces, jak zawsze, uwarunkowany był właściwymi wyborami politycznymi, towarzyskimi, rodzinnymi i małżeńskimi.

Polskiego inteligenta „wyższego” – nobilituje dobre zaplecze społeczne. Najlepiej jeśli wywodzi się z inteligencji przedwojennej, śmiało roszczącej sobie prawo do bezpośrednich koneksji z czymś, co można by nazwać „etosem staropolskim”. Ów konserwatywny etos nawiązuje do sentymentalnego światka „pięknych” i „prawdziwie polskich” tradycji i zwyczajów, czyli tradycji i zwyczajów szlacheckich. Sielski wizerunek takiego środowiska to w istocie, by przywołać terminologię psychoanalityków, fantazja, najwidoczniej integralna część dość specyficznej, mocno zromantyzowanej mitologii narodowej. „Prawdziwość” polska istotnie opiera się na inicjatywie indywidualnej, ale w czynie bohaterskim po polsku dominuje retoryka absolutnej ofiary złożonej ku chwale ojczyzny. Jest to więc model indywidualizmu spalającego się dla wspólnej sprawy – model, pokreślmy, w naszych czasach zdecydowanie bardziej azjatycki niż europejski, chociaż w tej zdawkowej – może zbyt zdawkowej – ocenie całkowicie wykluczamy wielkie tygrysy Dalekiego Wschodu. Indywidualizm zachodni stawiając na racjonalność, stawia na egoizm i może nawet samotność, ale nie musi to być postawa całkowicie samolubna - „w końcu szeryf strzelał zawsze w obronie mieszkańców. Bohater łączył samotność z bezinteresownym heroizmem, walcząc o dobro wspólnoty”⁸. W końcu nawet samotnik Robinson pragnął uchodzić za gubernatora swojego króla i w niewralgicznych momentach, gdy trzeba było się określić politycznie – było jasne, że jest nade wszystko Anglikiem. Gubernator Crusoe jest zatem obywatelem najlepszego i najbardziej cywilizowanego z narodów świata; narodu, który, na przykład, w przeciwieństwie do zdemoralizowanych Hiszpanów nie traktuje dzikich jak kaczki, do których można sobie do woli strzelać. Inną sprawą jest, że wielu liberalnych Anglików wypowiedziałoby się dziś nawet po stronie godności samych kaczek, psów, kotów i, oczywiście, znanych wszystkim ostatnio angielskich lisów.

Indywidualność polska, zdaje się, zawsze robi sobie dobrze, przez co bardziej boli innych. Kocha absolutnie wszystkich jako ojczyznę, ale na co dzień gardzi wszystkimi „gorszymi”, szydzi sobie z naturzczyków (specjalność inteligencji twórczej) lub nienawidzi tych, którzy mimo niższych „wyjściowych

7. Henryk Domański, *Polska klasa średnia*, s. 108.

8. Henryk Domański, *Polska klasa średnia*, s. 75.

notowań” hierarchicznych okazali się skuteczniejsi, czy po prostu lepsi, od tych od zawsze dobrze ustawionych. Ogólnie, dla Polaka sukces to rezultat działania impulsywnego – bez planowania i systematycznego wysiłku. Jak wkraczać do akcji to widowiskowo, bohatersko i do krwi ostatniej. Niestety zawsze obrywa się żyjącym. Martwy bohater, niczym protagonista greckiej sztuki, osieroca swoje dzieci, doprowadza do skrajnej pasji i hysterii swoją matkę lub małżonkę. Żywy bohater, jeśli wybierze opcję pozostania przy życiu, zawsze szuka guza. Szlachcic polski, zamiast pracować, jakby to sobie życzyli polscy pozytywiści, „u podstaw”, wplątuje się w szaleńcze sieci pieniackich intryg i niczym tragiczny *Le Cid* wypala swoje siły vitalne w obronie swojego honoru i godności rodowej. Awanturnictwo jest poniekąd ulubionym zajęciem (*pastime*) Polaka w czasie pokoju i względnego dobrobytu. Jeśli Polak zostaje latarnikiem na obczyźnie, zaczytuje się w *Panu Tadeuszu*, w momencie, gdy czas i obowiązki wykluczają sentymentalną lekturę eposu romantycznego. Literacki obraz staropolskiej idylli – to obraz tylko literacki. I tak, do znudzenia, oazy zacofania – zaścianki mazowieckie, zaścianki litewskie, zaścianki ukraińskie. Tak jak w tragedii klasycznej lub komedii Fredry, powody, by się gniewać i walczyć o swoje bywają nielogiczne i urojone – bohater najzwyczajniej nie potrafi spokojnie żyć i uczyć się nowych rzeczy. Pozostaje fantazja powagi nazwisk, tytułarnych godności i jest to wartość „stała” w każdym równaniu określającym polskość. „Silnego” obywatela, w tym kontekście, nie interesuje indywidualizm jako materialna, poznawcza i intelektualna inwestycja – pod tym względem, obywatel jako szlachcic był już dobrze ustawiony od zawsze. Do czasu. Przytoczmy informację podaną w „kapsułce”, czyli coś w rodzaju ciekawostki historycznej dodanej do zasadniczego tekstu *Europy*, w podtytule „Rozprawa historyka z historią”, Normana Daviesa.

Polska drobna szlachta była czymś jedynym w swoim rodzaju. W niektórych dzielnicach – na przykład na Mazowszu – stanowiła jedną czwartą ogółu mieszkańców. W niektórych okręgach szlachta zaściankowa – czyli „siedząca-za-ścianą” – tworzyła całą ludność odseparowanej od chłopów osady, tak zwanego zaścianka. Szlachcice bronili swojego sposobu życia z zajadłą determinacją; do siebie zwracali się *per* „pan” i „pani”, a do chłopów mówili *per* „ty”. Wszystkich innych szlachciców uważali za braci, a wszystkich pozostałych – za gorszych od siebie. Najsrozsze kary zarezerwowali dla tych, którzy podszywali się pod ich stan, i zazdrośnie strzegli procedury nadawania szlacheckich tytułów. Nie zajmowali się handlem, chyba że chodziło o żołnierkę lub zarządzanie majątkami. Do miasta zawsze jechali konno, choćby i na kucyku: nosili karmazynowe kontusze i broń – choćby to była symboliczna szabla z drewna. Mogli mieszkać w rudrach, ale każda taka rudera musiała mieć ganek, a nad nim – tarczę z rodowym herbem. Nade wszystko upierali się, że książę Lubomirski i inni magnaci są tacy sami jak oni⁹.

9. Norman Davies, *Europa. Rozprawa historyka z historią*, przeł. Elżbieta Tabakowska, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2000, s. 628.

W cytacie uwagę przykuwa fraza „z zajadłą determinacją”, może jeszcze bardziej „nie zajmowali się handlem”. Istotnie – fragment doskonale uzupełnia niniejszą dyskusję. Próżno by na Mazowszu szukać polskiego Robinsona. Co dziwne, „ciekawostka” Daviesa brzmi świeżo nawet dla Polaka, który wszelkich reprezentacji kultury sarmackiej miał po uszy już po zasadniczej, to jest, podstawowej edukacji w tym kraju. Tym bardziej razi ten cały rodzimy koloryt rudery staropolskiej wciśnięty przez obcego historyka do „kapsułki” niesamowitości i ciekawostek dziejowych, które nie dotyczą jakiegoś egzotycznego kraju, kolejnej groteskowej wyspy odwiedzonej przez Lemuela Gullivera, ale geograficznego serca jednoczącej się dziś Europy. Jednakże sam fakt przytoczenia przykładu polskiej szlachty przez wielkiego Daviesa podświadomie nas porusza, mimo że wiemy, iż uczony świetnie mówi po polsku i nie jest dla nas człowiekiem zupełnie obcym. Czytając tego typu „oczywistości”, zwłaszcza po angielsku, doznajemy olśnienia i widzimy wyraźnie, że jako Polacy ślepo ulegliśmy polonocentrycznemu mitowi. Dla Anglika, poniekąd człowieka dumnego ze swojej tożsamości narodowej, schludny i harmonizujący z otoczeniem dom jest jego świętością i niemal metonimiczną wizytówką jego ojczyzny. Dom, pisze Jeremy Paxman, „jest tym, co Anglicy mają zamiast Ojczyzny. Idea Vaterlandu albo Patrie jest zbyt najeżona poczuciem znaczenia państwa oraz idei narodowości i pochodzenia”¹⁰. Polakowi-szlachcicowi pozostaje w takim razie tylko goła idea narodowości i pochodzenia, której aksjologicznym środkiem jest on sam i jego interesy. Jest jeszcze... rudera z gankiem, którą jeszcze dziś groteskowo idealizuje niejeden Polak. W świetle tej refleksji dochodzimy do wniosku, że fantazja pokonała rzeczywistość empiryczną. Widzimy, że niby historia dobrze poinformowała nas o konsekwencjach ciemnoty demokracji szlacheckiej, ale większość z nas pragnie zachować w pamięci nieskalany obraz jakiejś fikcyjnej sielanki staropolskiej.

W pewnym sensie, schematyzm reprezentacji literackiej jest ważniejszy niż doświadczenie historyczne. Jest to tak zwane „upupienie” przez formę u Gombrowicza, która niby dotyczy estetyki, ale, w kontekście filozofii dwudziestego stulecia po Chrystusie – jako forma ekspresji i mitu, bez wątpienia kształtuje zachowania i nawyki całych wspólnot.

Esej Gombrowicza *Przeciw poetom* jest oczywiście pozornie tylko, i dla uproszczenia atakiem na „poezję wierszowaną”. Jest on zwrócony przeciw literaturze przyglądającej się w lustrze, wspierającej się na kulach minionej szlachetności, minionego piękna, literaturze żerującej na zgranym obrazie, obracającej metaforą jak kalejdoskopem, sądzącej, że wystarczy „nowy” i „ładny” zestaw słów, aby nadać nowy zapach słowu „róża”, nową nostalgię czy nowe bohaterstwo słowu „Polska”, nowe upojenie słowem „uda kochanej”...

10. Jeremy Paxman, *Anglicy. Opis przypadku*, przeł. Jarosław Mikos, Wydawnictwo W.A.B, Warszawa 2007, s. 196.

Przeciw literaturze leniwie klajstrującej burżuazyjne kompartymenty życia, gaworzącej w odpowiednich i wzruszających chwilach z Sokratesem czy Beatrycze, i przenoszącej się chętnie nad Niemen, aby pomarzyć¹¹.

Rozumiemy już, co Oscar Wilde dokładnie „miał na myśli”, gdy stwierdził, że to nie sztuka naśladuje życie. W istocie jest dokładnie na odwrót, a wiara w cudowną moc odpowiednio skonstruowanych zdań i wzniosłych określeń, u Polaków, stała się sposobem na zaspokajanie potrzeb zupełnie rzeczywistych. Przenoszenie podejrzanego sentymentu, powiedzmy – literackiego, do empirii życia codziennego to zdaje się właśnie siła mitu wspólnot, narodów i ideologii. Wchodzimy na teren już dawno opanowany przez myślicieli-pisarzy jak Roland Barthes, ale obca klasyka kulturoznawcza jakoś niezbyt pasuje do ruder z gankami, wiejskich zapachów, zakurzonych herbów, i powierzchownej elegancji werbalnej tej szlachetniejszej strony narodu. Mit trwa i miewa się dobrze.

* * *

Gdy poszukujemy tych marzycielskich nawyków w kontekście przed i powojennej inteligencji, należy pamiętać, że operujemy tu raczej sugestywnym symbolem i dosyć pedagogicznie przejawionym *exemplum* i że są też dobre cechy waleczności „o swoje” w imię starych, dobrych wartości. To właśnie inteligencja polska najlepiej się sprawdza, gdy chodzi o walkę przeciwko obcym reżimom. Konspiracje, tajne drukarnie w piwnicy, stacje radiowe na strychu, przemykanie prasy, libacje z Piotrem Skrzyneckim, nieoficjalne rauty z Wacławem Havlem, karkołomna pomoc wielkim polskim Żydom formatu Władysława Szpilmana, kabarety polityczne, literatura aluzyjna, organizacja Szarych Szeregów i pikiet w stocznicach – te sprawy wychodziły inteligentnym rodakom najlepiej. Ta inteligencja „myśląca” to raczej lokalna odnoga wielkiej światowej rodziny intelektualistów, która ma coś do powiedzenia na każdy temat. Ten ciekawy gatunek człowieka, na przykład, na Zachodzie czyta Marksa po swojemu, odważnie broni praw mniejszości etnicznych, robotników, zwierząt i, najprawdopodobniej, z obrzydzeniem patrzy na większość dokonań politycznych i cywilizacyjnych Kraju Rad. Akademickich poglądów i postaw jest oczywiście znacznie więcej. W skrajnych przypadkach intelektualista jest w stanie, na przykład, zaprzeczyć istnieniu holokaustu, ale widocznie promile chorobliwych inklinacji wykazują podobne wartości we wszystkich środowiskach. Twórczy inteligent to taka osobliwa pozostałość po modelu publicznego herosa w starożytnych Atenach.

11. Konstanty A. Jeleński, *Bohaterskie niebohaterstwo Gombrowicza*, w *Gombrowicz filozof*, wybór i opr. Francesco M. Cataluccio i Jerzy Illg, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 1991, s. 156.

Nie jest to bynajmniej typ sarmacki. Owszem, w przypadku Ateńczyków – chodzi o to, by spalić się całkowicie, by pokazać wszystkim, że jest się najlepszym – ale jest to bezwarunkowe poświęcenie się dla dobra najpiękniejszej w swoim czasie demokracji na świecie. Prywata, zaścianek, szczęście rodzinne, drewniane szable, wygodna stabilizacja – to nie *eudaimonia* dla Greka¹².

Walka o wyzwolenie narodowe to prawdziwe błogosławieństwo dla inteligenta, który naczytał się Greków. Rzec w tym, że w czasach pokoju niepotrzebny jest już ideowy aktywista, ale „menedżer”¹³. W imperializmie niespokojne dusze, czego doskonałym przykładem był uzależniony od opium Robert Clive, zawsze można było wysłać do Afryki lub do Indii. W oparach monsunowego zaduchu nadpobudliwy poszukiwacz przygód mógł najlepiej wykazać się swoimi nadludzkimi zdolnościami podbijania nowych terytoriów w imieniu Jego Królewskiej Mości, a tym samym dla dobra wszystkich rdzennych obywateli Zjednoczonego Królestwa. Oczywiście niektórzy z nich mogli próbować stworzyć swoje własne imperium w sercu dżungli, ale o takich przypadkach dowiemy się raczej z modernistycznej literatury oplakującej romantyzm, a nie z podręczników historii. Ale w postkomunistycznej ojczyźnie nie ma już ekscytujących misji dla nawiedzonych ideowców. Nadwrażliwych twórców można wypchnąć do reklamy – jeśli im się uda przekonywująco coś sprzedać, dobrze sobie zarobią. Jeśli nie – to nie dobrze; w nowym społeczeństwie nie ma dla nich miejsca. „Najogólniej rzecz biorąc, inteligenta kaznodzieję i gawędziarza zastępują specjaliści od *public relations*, marketingu i *human resources*, których intelektualne ambicje nie przewyższają poziomu rzetelnego fachowca”¹⁴. Tendencja ograniczenia wiedzy niepraktycznej i teoretycznej postępuje w zawrotnym tempie¹⁵. O ile inteligent twórczy, zwłaszcza jeśli podłapał to i owo z mądrości życiowych Sofistów, jakoś sobie daje radę, to tak zwaną warstwę inteligencji budżetowej (por. u Mleczki kategoria „biurew”) czeka los dinozaurów. Ta ostatnia: „reprezentuje nierzadko

12. Hannah Arendt, *Labour, Work, Action*, w: *The Portable Hannah Arendt*, red. Peter Baehr, Penguin, New York 2000. „Transcendencja ku wieczności (*eudaimonia* – szczęście) dla Greka była całkowicie osadzona w heroicznej i doczesnej walce dla dobra publicznego swojego państwa” (s. 203). „Żmudna, a więc systematyczna i, w pewnym sensie, spokojna praca lub ustabilizowana prywatność miała być, oczach prawdziwych Greków, przymiotem nieszczęśliwych, biednych i zniewolonych” (s. 187). Por. pojęcie *douleia* (niewola).

13. Henryk Domański, *Polska klasa średnia...*, s. 121.

14. Henryk Domański, *Polska klasa średnia...*, s. 112.

15. O nieuchronnym przedawnieniu funkcji uniwersalnego intelektualisty, czyli „Zaratustry na kampusie uniwersyteckim” pisze, w tonie dydaktycznej parafrazy koncepcji Richarda Rorty’ego, Leszek Drong, *A Few Skeptical Remarks on Richard Rorty’s Philosophy of Education: Or, Do We Really Want Crowds of Ironist Liberal Zarathustras on Our Campuses*, w: *Perspectives in Higher Education: Poland Proceedings*, red. Merry G. Perry i William Lalicker, West Chester University Press, West Chester 2007, s. 65–77.

typ będący połączeniem nieudacznika o elitarnych fobiach z pretensjami do wysokiego statusu. Ideowo bezbarwni, lokują się na poboczu głównego nurtu zmian, podobnie jak w krajach zachodnich kategorie „białych kołnierzyków”, pozbawionych wyrazistego oblicza. Bierni i sfrustrowani są dla polityków wymarzoną obiektem manipulacji wyborczych”¹⁶.

Mimo że czasy nie te, są powody by sądzić, że ten opis dziwnie pasuje do prawowitego mieszkańca mazowieckiego zaścianka w siedemnastym i osiemnastym wieku. Może życie szlachcica było ciekawsze w tym, że częściej dochodziło w nim do pyskówek i krwawych burd, ale w egzystencji szlacheckiej nic nie razi bardziej niż umiłowanie stagnacji. Im więcej inercji, tym lepiej, można się powadzić w karczmie i sejmiku, popić, w końcu – umrzeć, a potem choćby i potop. Powracamy do współczesności i cytujemy dalej. „Nie eliminuje to kłopotliwego problemu przyszłości wszystkich naczelników, referentów czy księgowych, których styl pracy kojarzy się z bezproduktywnym przekładaniem papierów, popijaniem herbaty i nudą. Nawyki wyniesione z socjalistycznych zakładów pracy stały się zasadniczą przeszkodą we wdrażaniu do nowych ról zawodowych, a wieloletnie przyzwyczajenia trudną do pokonania barierą mentalności”¹⁷. W przypadku ogółu – śledzimy dalej pracę o „kwestii” powstawania klasy średniej w Polsce – przywiązanie do błogiej inercyjności, stało się poważnym problemem egzystencjalnym w momencie gwałtownego przejścia na nowy system gospodarki rynkowej. Uciążliwe się okazały również nawyki światopoglądowe, a raczej ich aspekt wyznaniowy. Gombrowicz miał nieświadomie powtórzyć socjologiczną prawdę, wcześniej bardziej naukowo wyartykułowaną przez Maxa Webera, że „katolicyzm jest miarą naszej niedojrzałości i zubaża osobowość Polaków”. Doczytamy dalej: „teoretyczna refleksja pozwala wysnuć wniosek, że większa religijność łączy się z mniejszym zaufaniem do własnych sił”¹⁸. W ślepych odwołaniu się odgórnym autorytetom, w tym również doktrynalnym i politycznym, fatalistycznie podpisujemy wotum zaufania wobec różnych form kolektywizmu, które zdecydowanie odbiegają od protestanckiego modelu sukcesu. *A self-made (wo)man* to paradygmat wylansowany przez wspomnianego Robinsona Crusoe i, przy okazji, Moll Flanders – jego jeszcze bardziej przytomnego, kobiecego odpowiednika lub, bardziej historycznie, jest to wzorzec samodzielności ekonomicznej propagowany, na przykład, przez administrację Ronalda Reagana i Margaret Thatcher¹⁹. Wnioski ogólne pracy o polskiej klasie średniej – w domyśle ze znakiem zapytania – są jednak umiarkowanie optymistyczne. Można powiedzieć

16. Leszek Drong, *A Few Skeptical Remarks on Richard Rorty's Philosophy of Education...*, s. 128.

17. Leszek Drong, *A Few Skeptical Remarks ...*, s. 129.

18. Leszek Drong, *A Few Skeptical Remarks...*, s. 70.

19. Leszek Drong, *A Few Skeptical Remarks...*, s. 50.

„im dalej tym lepiej”. Praca, opublikowana w 2002 roku (skupia się na badaniach akcentujących odniesienia czasowe 1984 i 1998) naturalnie nie mogła przewidzieć skutków fali masowej migracji ekonomicznej do krajów Unii Europejskiej po roku 2005. Jednakże ostrożność w przypisaniu współczesnemu charakterowi polskiemu cech postępowości jest nadal wskazana, o czym świadcząby olśniewający, choć krótki, sukces reżimu politycznego 2006–2007, który retorykę małej godności zaściankowej wyniósł do rangi oficjalnej polityki państwowej.

II

Anglista. Wpisując anglistę w ten schemat grup społecznych, należy go porównać, zestawzić i, nieuchronnie poróżnić z „lepszym” inteligentem okresu międzywojnia. Dobra inteligencja, to ta wszechstronnie odczytana klasa humanistów. Przystojni chłopcy w wielkich mycach lub dużych kapeluszach i piękne Polki – w tym obrazku, powiedzmy, dominuje typ ułożonej i bystrej blondynki w paryskim kapelusiku mocno osadzonym na głowie. Inteligencja międzywojnia to twarze europejskie o rysach szlacheckich. W gestach, manierach i intonacji głosu panuje wdzięczna afektacja. Chłoną poezję, chętnie podróżują do Paryża i do Zakopanego, ubóstwiają przede wszystkim Mickiewicza i Chopina, ale znają się też na wysokich awangardach epoki wielkiej moderny. Niektórzy z nich, na przykład Karol Szymanowski, Witkacy lub Bruno Jasiński, przełamują bariery tradycji i potrafią dobrze się znaleźć w nowych prądach estetycznych. Humanista, na przykład w roli filologa obcego, zna doskonale francuski i uwielbia literaturę pisaną w tym języku. Jeśli zajmie się przekładem, tłumaczy chętnie nie tylko Balzaca, ale także Prousta osiągając w tej dziedzinie, tak jak Tadeusz Boy-Żeleński, absolutne mistrzostwo. Inteligencja humanistyczna ceni sobie zasady i dla nich jest w stanie poświęcić – w każdym sensie – swoje życie. Nie ma tu nic ważniejszego ponad aksjologiczną trójcę *Bóg, honor, ojczyzna*, a umiłowanie romantycznego staropolskiego mitu bierze górę nad zdrowym rozsądkiem i chłodnym osądem dziejów. Ci najlepsi z Polaków to ludzie poważni – nawet dowcip i surrealistyczny absurd w ich wydaniu wydaje się mocno przedestylowany i wystylizowany na coś raczej wzniosłego. Humanista-inteligent jest słowny, nigdy się nie jęka, mówi przezczystą choć jak na obecne gusta zbyt sztuczną polszczyznę i nie żartuje sobie, jak Anglicy, z najwyższych autorytetów. Jeśli młody człowiek przed wojną nauczył się angielskiego, zwykle przestrzega z pietyzmem formalnych zasad gramatyki i mówiąc w tym języku używa przede wszystkim angielskich zapożyczeń z łaciny i francuskiego. Z rozumieniem bywa pewnie gorzej, a wymowa zwykle brzmi fatalnie. Nie wpływa to jednak źle na jego reputację w oczach oświeconych klas Europy zachodniej. Polak zwykle nadrabia braki komunikacyjne bardzo dobrym

poziomem ogólnego wykształcenia, ofiarnością w walce o „wolność waszą i naszą” i, jak przystało na potomka rycerskich szlachciców, wykazuje się niespotykaną wręcz w innych cywilizowanych krajach kurtuazją wobec dam. Może brzmi to jak atut całkiem marginalny, ale owa rycerskość polskich oficerów sprawia, że na przykład wiele Brytyjek wiele lat po wojnie wyjątkowo dobrze wspomina maniery tych bladych i zbyt szczupłych *gents* z Europy Wschodniej.

Wszystko pięknie, ale, by posumować ów typ, stawiamy pytanie: czy ten portret dobrze rokuje na przyszłość całemu narodowi. Bez względu na to, czy ulegniemy wdziękowi polskiego *gent*, wraz z jego genetycznie unormowaną niechęcią do jakichkolwiek zmian, czy nie, jest to relikwyt przeszłości, którego nie sposób umiejscowić w globalistycznej ideologii i klimacie przemieszania kultur w „postkolonialnych” czasach. Zaściankowość jest zaprzeczeniem wielokulturowości, którą, w swojej najbarwniejszej postaci, Polak poznał dopiero na emigracji jako obywatel-przybysz, przynajmniej szczerze, drugiej kategorii. W Wielkiej Brytanii, emigrant, były lotnik RAF-u lub wierny żołnierz Generała Andersa raczej się nie asymiluje. Pozostaje nostalgia za mocarną ojczyzną i melancholia, bo straciło się coś, jak to bywa w melancholii, czego nigdy nie było. Sytuacja ta może się zmienić tylko w czasach komunizmu, gdy wielu inteligentów odczuje na własnej skórze horror klaustrofobii politycznej zapodany im okrutnie przez nowy system. Ten ostatni nie tylko zdecydowanie pozbawia go marzeń o sielskiej ruderce z gankiem, ale odmawia mu podstawowych dobrodziejstw bytowych, które uchodzą za standardowe wyposażenie europejskiego domostwa. W tej sytuacji, społeczeństwo dzieli się na tych, którzy wydają się zadowoleni z kondycji socjalistycznej (tu prawie każdy jest biedny i nikt nie musi się szczególnie wysilać, by jakoś przetrwać); na tych, którzy lubią nade wszystko adrenalinę i walczą o niepodległość (wielcy przegrani przełomu XX i XXI wieku) oraz na tych, którzy pragną jakoś przekroczyć granice i więcej się tu nie pojawiać. Anglista, szczególnie rodzaj inteligenta, swobodnie porusza się między tymi kategoriami – wszak pełni funkcję łącznika kultur, rejestrów, konfiguracji etycznych, światopoglądów i systemów gospodarczych.

Anglista-humanista w czasie intensywnego budowania socjalizmu jest bytem tyleż wyjątkowym, co wyobcowanym przez to właśnie poczucie wyjątkowości. Wykształcony w czasach komunizmu lub na przełomie starego i nowego czasu znajduje powody, by czuć się dumny z tego, kim jest i by dyktować warunki. W tej wersji, zauważamy, dziś już anachronicznej, anglista jest klasą dla siebie – pamięta czasy, kiedy zostać anglistą było trudno. Otrzymując indeks, student anglistyki w latach 70 i 80 tych dołączył do grona ekskluzywnej elity studentów, którzy „dadzą sobie radę” i to od razu, bo – powielimy truizm – chętnych do uczenia się angielskiego było zawsze wielu. Popularność tego języka nie była narzucona przez zniechęconą ideologię. Wręcz przeciwnie – była to potrzeba powszechnie

kojarzona z wyborem zdrowego rozsądku oraz nadziei, że dzięki dobrej znajomości tego najważniejszego z języków spełnią się marzenia o podróżach za żelazną kurtynę. Przyznajemy, że dzięki angielskiej wizji indywidualistycznej ekspansji poza zaściankową mentalność stała się możliwa i że dzięki niemu bliżej nam jak nigdy dotąd do przedsiębiorczej ciekawości (*curiosity*) Robinsona Crusoe. Każdy, kto poważnie traktował angielski, liczył skrycie, że nawet jeśli nie uda mu się uciec na dobre z kraju demokracji ludowej, to przynajmniej trochę sobie pozwiedza wielki świat.

Anglista wypełnił niszę w drugim, „zaocznym” i doskonale „prywatnym” obiegu edukacyjnym. Już jako student filolog nieźle potrafił sobie dorobić dzięki, jak to często bywa, zarówno dziwnym uprzedzeniom swoich rodaków, jak i ich praktycznym ambicjom, które konsekwentnie przenoszą na swoje potomstwo. Wysyłanie syna lub córki na korepetycje cieszyło się reputacją najlepszej inwestycji dla „dziecka” i jego przyszłości, „by żyło mu się lepiej niż nam”. Refleksji pragmatycznej rodzica zwykle towarzyszy odruchowe przekonanie, że szkoły nie uczą i jedyną czynnością, która pozwoli im spać spokojnie, jest – koniecznie – zapłacić i to, na wszelki wypadek, sowicie za doksztalcanie dziecka. Jest to swoista praktyka kulturowa wynikająca z wieloletnich doświadczeń i – przede wszystkim – uprzedzeń wobec darmowych usług powszechna. Nic dziwnego. Po pierwsze, dorosły Polak widział jak funkcjonował jego własny zakład pracy, w którym pracował sobie beztrudno na rzeczonej już wyżej posiadzie państwowej. Po drugie, skoro praca była skrajnie nudna, Polak, potomek krewkiego szlachcica lub buńczuczego chłopca, potrzebował osłodzić sobie życie - opiniami, mitami, domysłami, przypuszczeniami, narzekaniem, kupowaniem spod lady itd.

Tu znów bliżej jest do mitu i rytuału oczyszczającego aniżeli do chłodnej kalkulacji, ale musimy założyć, że życie symboliczne jest częścią życia w ogóle, nawet jeśli sprowadza się do wegetacji lub czystej konsumpcji. W naszym kraju, partycypacja przyjęła formę subwersywną w stosunku do oficjalnych instytucji. Formalnej drodze ucznia do prestiżu społecznego towarzyszy bogata sub-kultura doksztalcania, dopłacania, dowartościowania się poprzez uczestnictwo w posiłkowym modusie tej alternatywnej edukacji i gospodarki. Okazuje się, że programowa stagnacja kulturowa ma swoje drugie dno. Można spokojnie przyznać, i w ten sposób uzupełnić zamysł socjologiczny, że o ile zaangażowanie motoryczne w sprawach służbowych przeciętny (niekoniecznie inteligentny) i przyzwoity obywatel PRL ograniczał do minimum, jego wkład vitalności życiowej zainwestowany w działalność alternatywną (dorobkowo-doksztalcającą) można porównać z zaangażowaniem zawodowym menedżera niemałej firmy w demokracji zachodniej. Po godzinach ośmiogodzinnej nudy – czas na mały kapitalizm. Tradycja i nowy system zapewniają stabilizację wartości, ale trzeba coś robić. By coś się działo, trzeba się ruszać – trudności w pozyskiwaniu wszelkich

środków konsumpcyjnych oraz konieczność nawiązywania znajomości z należytymi czyli wpływowymi postaciami, to wystarczające bodźce, by prowadzić podwójne życie publiczne. W przypadku doksztalcenia dzieci poprzez naukę języka angielskiego istnieje jeszcze motywacja patriotyczna. Angielski oficjalnie nie był mile widziany pod jakimkolwiek względem w środowisku światopoglądowym PRL, a więc uczenie się go wprowadzało w życie politykę polskiego stawania okoniem wszystkiemu, co rosyjskie i, może przy okazji, niemieckie. Jest to odruchowa reakcja, koronny przykład patriotyzmu „stosowanego”, aplikowanego w każdych okolicznościach.

Dlatego anglista już jako student był zamożniejszym typem młodego inteligenta. Był mniej uzależniony od budżetu rodzinnego, jeździł częściej i dalej ze granicę, ubierał się modniej, okazynie próbował używek niekonwencjonalnych bez większego poczucia winy, cytował intelektualistów niewygodnych dla metodycznych i pod każdym względem ustatkowanych „uczonych” inteligentów starej daty. Jeśli czytał literaturę, dzielił ze starszym kolegą po fachu fascynację modernistycznym kanonem, choć z pewnością nie poświęcał tyle czasu na lekturę. Już wtedy raczej „nie było czasu”. Trzeba było nadrabiać sprytem i inteligencją. Szkoła interpretacji literackiej zakorzeniona w tamtych czasach stawia na intelektualną głębię argumentów aniżeli obfitość informacyjną. Powody są poniekąd oczywiste – izolacja kulturowa kraju komunistycznego, ograniczony dostęp do aktualnej literatury fachowej, ale także do zbiorów historycznych. To ostatnie stało się wyłącznym przywilejem Polonistów, szczęśliwych wybranych, którym dane jest zawsze czerpać bez ograniczeń z rogu obfitości literatury swojego języka. W zasadzie bez wglądu w archiwa i odrobiny sensacjonalizmu archeologicznego nie ma w ogóle progresji w dziedzinie historii literatury i kultury, bo twórców tych nie sposób w nieskończoność redukować do czystych pojęć.

Anglista-intelektualista czytał Jacquesa Derridę, Michela Foucaulta i Louisa Althussera lub Waltera Benjamina, dość paradoksalnie, by powalczyć umysłowo w imię świętych idei polskich i niepodległości kraju prometejsko obciążonego komunistycznym reżimem. Liberalny marksizm teoretyczny zwalczał marksizm, przynajmniej teoretycznie, częściowo zrealizowany. Idee żyły i żyją, jak już wspomnieliśmy, swoją logiką najwidoczniej nie racjonalną, ale mityczną. Ale, najwidoczniej, dość bezmyślna adaptacja obcych stylów akademickich miała też progresywne strony. Młody intelektualista ‘80 nie był już skrupulatnym molem książkowym ani perfekcjonistą poprawności wyrazu czy to w języku obcym, czy też ojczystym jak jego elitarni poprzednicy. Jednakże brak konsekwencji w wyznawaniu takiego czy innego światopoglądu pozwolił na uwolnienie się od wielu uprzedzeń związanych z uprawianiem bezwarunkowego patriotyzmu w dobrym przedwojennym stylu. Ten ostatni dość niebezpiecznie przyjął za świętą, jak już wiemy, cikliwą wersję, heroiczną polonocentryzmu, osadzonego w ro-

mantycznych mitach mesjanistycznych. Była to przy okazji wizja wskrzeszenia „imperium” polskiego od morza do morza, najlepiej bez udziału przedstawicieli narodowości wyznania mojżeszowego. Polak tradycjonalista również reprezentował słabe poczucie humoru. Grzeczny dowcip polskiego inteligenta sprzed lat może przyprawić młodszego człowieka o mdłości:

- Panie Kowalski, co pan tu robi na dworcu, przecież pana pociąg odjeżdża dopiero za dwie godziny.
- To prawda, ale wie pan, panie Malinowski, na dworcu zawsze przypomni pan sobie o czymś co zapomniał pan w domu, a ja mam do domu pół godziny drogi²⁰.

Jeśli ten dowcip ma reprezentować rodzime poczucie humoru, nie zabraknie nam powodów, żeby szybko stąd emigrować. Anglista ma bardziej wymagające potrzeby satyryczne, zna na pamięć hasła i scenki z *Monty Pythona*. Popkultura zachodnia, dozgonne umiłowanie idoli typu Mick Jagger, Jim Morrison, egzotycznego intelektualizmu Beatników, później Boba Marleya i jeszcze później czarnej kultury raperskiej, pozwoliły angiłście na otwarcie się na Innego. Może to brzmi jak apologia pluralistycznego i postmodernistycznego²¹ bałaganu, ale warto podkreślić, że nowe mody intelektualne propagują dionizyjską zonglerkę ideami w sposób bezbolesny dla jakichkolwiek mniejszości – seksualnych, etnicznych, politycznych. Student filologii obcej dowiaduje się, że rewolucje obyczajowe i seksualne są integralną częścią historii dojrzałych cywilizacji i że w Anglii różne manifestacje np. tzw. antynomianizmu wzbogacały tę kulturę o niemal „hipisowskie” poglądy już w siedemnastym wieku²².

20. Jerzy Wittlin, *Jest taki dowcip! 666 dowcipów do opowiadania w 600 sytuacjach*. Iskry, Warszawa, 1979, s. 170.

21. „Prawowierni” intelektualiści polscy lubią krytykować „postmodernizm” – w zasadzie nigdy nie uściślając, co termin ten miałby oznaczać. Ów bardzo modny i pojemny *-izm* najwidoczniej pojmuje się jako abstrakcję o wysokim stopniu bliskożnaczości do czegoś, co można by nazwać „kompletną anarchią aksjologiczną”. Jacek Kaczmarski w jednej ze swoich piosenek (zatytułowanej *Postmodernizm*) zinterpretował to szerokie pojęcie jako niechlubną wizytówkę naszych czasów. Podobny stosunek do postmoderny wyraża w swoich publicznych tyradach bardzo dydaktyczny Krzysztof Zanussi.

22. Por. Leonard W, Levy, *Blasphemy. Verbal Offense Against the Sacred, from Moses to Salman Rushdie*, The University of New Carolina Press, Chapel Hill and London 1995, s. 136–167. Termin odnosi się do poglądów dysydenckich wspólnot wyznaniowych w siedemnastowiecznej Anglii (np. *Diggers, Levellers, Ranters*). Antynomianizm jako światopogląd „alternatywny” ogólnie sprzeciwiał się religii formalnej i instytucjonalnej, zakładał, że człowiek, jako stworzenie boskie nie jest w stanie zgrzeszyć i nie powinien wstydzić się swojej pożądlivosti. Najciekawszym kaznodzieją Ranterów był Abezier Coppe, autor ekstatycznego kazania *A Fiery Flying Roll (Latający Wir Ognia, 1649)*, poniekąd pisma o mocnym, demagogicznym, wydźwięku politycznym. Równość wszystkich wobec prawa boskiego miała uprawomocnić roszczenia biednych do nieskrępowanego

Wyzwolenie poglądu anglisty poszerzyło też jego pole widzenia i doświadczenia ludzkiego w sensie filologicznym. Dzięki kulturze popularnej, nowy filolog musiał otworzyć się na niuanse rejestrów lokalnych, subkultur, mikro kultur, których klasycznie edukowany filolog nie znał i nie chciał znać. Tu nie mamy wątpliwości. Inteligent z dobrego domu lat dwudziestych i trzydziestych został wychowany w duchu poczucia własnej elitarności oraz bezwzględnej wyższości kultury wysokiej nad popularną lub cywilizacją „naszą” nad – jak to ujmuje klasyczny antropolog – kulturą „dzikich”²³. Niechęć do współczesnego odtworzenia pierwotnej symboliki rytuałów wspólnotowych – tatuaże, kolczyki, malowanie twarzy na stadionach – nie krył wybitnie wykształcony Kresowiak Stanisław Lem. Wielu szlachetnych asów inteligencji przedwojennej nie potrafiło i nie potrafi wypowiedzieć słowa „Żyd” w sposób nie wywołujących u Żydów jakiś traumatycznych wspomnień, nawet gdy polski rozmówca jest przekonany o neutralności swojego zdania. Choć głębokie uprzedzenia rasistowskie Polaków wraz z historyczną treścią, w której się przejawiały poprzez wieki, zostały wyparte ze świadomości, wszędzie pozostawiają po sobie jakiś ślad. Niczym przejęzyczenie lub marzenie senne u Freuda, „zawsze ten sam antysemityzm” zdradza swoją obecność nawet w przeciwstawnych orientacjach światopoglądowych i politycznych.

Neurotyczny antysemityzm polski występuje przede wszystkim w postaci spiskowej wizji historii. Ze względu na podziały światopoglądowe w naszym społeczeństwie mówić można o dwóch jej podstawowych formach: materializmie detektywistycznym i spirytualizmie detektywistycznym. Różnice praktyczne między nimi są nikłe. Ci, którzy na przykład mówią o syjonistach w „Solidarności”, ci, którzy mówią o trockistach w „Solidarności” i ci, którzy w symbolu zjazdu „Solidarności” widzieli wystylizowaną gwiazdę Dawida, dzielają fundamentalnie tę samą wizję historii”²⁴.

korzystania z dóbr majątniejszej części społeczeństwa. Wśród przeciwników tej oryginalnej koncepcji Coppe uchodził za gwałtownika, który nawracał, często w całkowitym neglizżu, za dnia, a po nocach beztrudno hulał z dziewczynami w karczmach. Ów surrealistyczny, często potępiany przez moralistów kaznodzieja najwidoczniej i mimo wszystko nie uchodził za najgroźniejszego wroga publicznego. Jeśli angielski zmysł samozachowawczy zdecydowanie wykluczył kiedykolwiek jakąś wspólnotę religijną jako czynnik destrukcyjny dla porządku państwa, był nim w pierwszej kolejności Kościół Rzymskokatolicki.

23. Termin używany, na przykład, przez Bronisława Malinowskiego. Nikt w dzisiejszych czasach nie podważy autorytetu tego wielkiego antropologa, ale niektóre terminy określające kultury pierwotne (prymitywne, dziki) jako niepoprawne politycznie musiałyby być zastąpione eufemistycznymi odpowiednikami.

24. Aleksander Smolar, *Tabu i niewinność*, w „Jidele. Żydowskie pismo otwarte”, red. Michał Bilewicz, Bogna Pawlisz, Wydanie specjalne – *Żydzi i komunizm*, Wiosna, Warszawa 2000, s. 61.

Widocznie odruchowy i niemal bezmyślny rasizm to cena za komfort możliwości wybrania jasnego celu i wytyczenia konkretnego kierunku postępowania, sprowadzonego do wyrazistych kategorii i znaków *Bóg, honor, ojczyzna*.

* * *

Młody podróżnik po wojnie nie trafia do Paryża ani na zagraniczną konferencję naukową, gdzie wszyscy posługują się eleganckim i klarownym, ale też pod wieloma względami ograniczonym językiem. *Sic*. Napisanie skonceptualizowanego referatu naukowego w języku obcym nie jest bardzo trudnym zadaniem dla wykształconego i poukładanego człowieka. Żargon nauk, co zauważyli twórcy *The Royal Society od London* (1660), z założenia musi być prosty i konkretny. Thomas Sprat twierdzi, że język angielski, jako język narodu szczycącego się „uniwersalnym temperamentem”, może spełnić przewodnią rolę w promocji rzetelnych postaw empirycznych w poznaniu jako takim²⁵. Jednakże nobilitująca czynność pisania referatu może obyć się bez czasów przeszłych i innych zaawansowanych konstrukcji gramatycznych. Może się zdarzyć, że młody anglista, jako student lub asystent pojedzie sobie za granicę na konferencję akademicką. Częściej jednak kończy w pubie lub hotelu, gdzie pracuje na czarno, a tam mówi się zupełnie inaczej. Przyznajmy szczerze: rozeznanie się w kulturze języka w społeczeństwie wielokulturowym jest ogromnie trudne dla Polaka. W samej Wielkiej Brytanii zwyczaje, obyczaje, kody, gesty życia codziennego i dialekty regionalne tworzą skomplikowaną sieć kultury, a trzeba tu jeszcze dodać małe światy i ojczyny populacji pokolonialnych. Rozumienie dialektów – i to w sensie czysto technicznym, to jest, fonetycznym, angielskich: Cockney, Midlands, Merseyside, Yorkshire; szkockich, zwłaszcza Aberdonian; irlandzkich i walijskich dla początkującego turysty dobrze władającego standardową angielszczyzną graniczy z cudem. Dochodzą do tego mniejszości z całego świata i, oczywiście, bogaty świat nawyków towarzyskich, kulinarnych, konwersacyjnych, specyfiki humoru i dowcipu, ogrom materiału semiologicznego wpojonego rdzennemu obywatelowi przez reklamę i media. Język angielski jego rodzimych użytkowników niemal w każdej postaci jest fonicznie trudny do zrozumienia. W ustach Anglika, Amerykanina, Jamajczyka lub Irlandczyka spółgłoski wykazują naturalną tendencję do zlewania się lub zanikania, a wyrazy określające „oczywiste”, czyli słabe formy w zdaniu bywają „prawie” pomijane. Trudy leksykalizacji tego języka poczuł na własnej skórze, a może przede wszystkim zdrowiu, Samuel

25. Thomas Sprat, *The History of the Royal-Society of London, 1667*, w: *Critical Essays of the Seventeenth Century, 1650–1685*, tom 2, red. J.E. Spingarn, Indiana University Press, Indiana 1957, s. 118–119.

Johnson, który z dużym poczuciem niedosytu ukończył swój pionierski słownik, *A Dictionary of The English Language*, w 1755 r. W latach osiemdziesiątych zeszłego stulecia, wydawnictwo *Oxford English Dictionary* zawierało grubo ponad 500 tysięcy słów, do czego należy dodać jeszcze pół miliona, a obecnie znacznie więcej, nieskatalogowanych terminów technicznych, naukowych, informatycznych itd²⁶. Przedsmaku tej magicznej różnorodności wysłowienia języka angielskiego i bogactwa jego znaczeń, w sensie zarówno praktycznym jak i symbolicznym, można doświadczyć na ulicach Londynu lub Nowego Jorku.

To, czy młody Polak jest się w stanie znaleźć w tych kulturowo odmiennych okolicznościach czy nie, zależy od bardzo osobistych zdolności asymilacji i wypracowania sobie właściwej aktywności wśród obcych dźwięków, twarzy i obrazów. Tak czy inaczej, jeśli Polak nie ulegnie alienacji i frustracji, która niechybnie przerodzi się w nienawiść do „brudnego Angola” lub „leniwego żabojada”, nawet po powrocie do kraju, zapragnie widzieć jak najwięcej tej Zachodniej schludności, metropolitańskiego kolorytu i luzu w swoim otoczeniu.

Anglista, neofilolog, dwadzieścia/trzydzieści lat po wojnie, słucha muzyki punkowej, nowofalowej i pragnie odreagować. Już wie, że nie żyje w centrum świata i, że dla staroświeckiej fantazji kolektywnej nie warto tracić życia. Ani głowy. Szanuje mit wielkiej suwerennej Polski, tym bardziej, że jej w owym czasie nie ma, ale chce przede wszystkim jeszcze dalej podróżować. Wie już też, że, na przykład, Ameryka to nie tylko porządek narzucony przez WASP, zdaje się najmocniejszy czynnik kulturotwórczy w ogóle na świecie, ale też cudowna muzyka Czarnych Amerykanów, dzięki której zawdzięcza najmiłsze chwile swojej młodości. Bywa szczęśliwy dzięki z trudem zdobytym oryginalnym płytom winylowym wytwórni EMI, Columbia lub Motown, zauważa, że jazz i jego pochodne prezentują wielką klasę estetyczną, nawet jeśli jej twórcy nie czytują Wittgensteina ani Heideggera. Anglista, by poczuć się wyjątkowo, zajrzy sobie od czasu do czasu do woluminów z pokrętnymi teoriami niemieckich myślicieli, ale zdecydowanie woli się poruszać, posłuchać Milesa Davisa i, jeśli to możliwe, jak najwięcej sobie zarobić. Jeśli udaje mu się przekroczyć ocean, zwykle tam zostaje na dobre, zaczyna od podstaw, zamienia wartości na wolę przetrwania w lepszym świecie, często na zawsze porzucając swoje wyższe, intelektualne ambicje. Przestaje być inteligentem.

Ale dla niektórych emigrantów filologicznych i nie tylko tu biografia się nie kończy. Jeśli okaże się, że amerykańska mobilność może liczyć na sukces jedynie dzięki żmudnej, nudnej i konsekwentnej pracy... polski Robinson wie już, że amerykański mit nie jest wcale realizacją jego idei wolności. Czas wracać

26. Robert McCrum, William Cran, Robert MacNeil, *The Story of English*, Viking Penguin, New York 1986, s. 19

do kraju, bo w wielkich Stanach nikt się z nami nie liczy. Amerykanie często myślą Polskę z Rosją, albo, z powodu zbieżności fonicznej nazw różnych krajów w angielskim, z Holandią. Polak w duchu przyznaje rację genialnemu rosyjskiemu artyście Światosławowi Rychterowi, który kiedyś stwierdził nieśmiało, że Ameryka jest banalna, „wszystko tam jest takie same”. To ważna uwaga. Dla Słowianina – melancholijnego romantyka – monotony krajobraz, niekończące się rzędy dużych, dobrze wykończonych domów oraz zdumiewająco banalny, ujednolicony i uproszczony schemat realizacji zawodowej i rozrywki, to prawie zniewolenie. Słowianin to człowiek w gorącej wodzie kąpany, tak jak Argentyńczyk lub Sycylijczyk, jest specjalistą od ryzyka, mocnych wrażeń, mocnych trunków, intensywnego cierpienia i poważnych problemów egzystencjalnych – mocno zakorzenionych w naturze i „ziemi”.

Inaczej jest z Włochami, Słowianami, Hiszpanami, Grekami. Południowi i wschodni Europejczycy mają znacznie bardziej „pogańską” postawę wobec życia. Ich namiętności rozpala natura, kochają ziemię. Można powiedzieć, religią jest dla nich raczej ziemia niż boskie niebo. Toteż Anglosasom wydają się mniej „religijni”. Przez religię Anglosasi rozumieją kontrolę, własność, sumienie, porządek. Panowanie, a wszystkie ich symbole opierają się na zasadach dominacji rozumu. Z tego jedynie powodu technika, nauka i szpitale są naturalnym wyrazem anglosaskiej kultury, Anglosasi są światowymi ekspertami od mydła i wody. Jeżeli czystość najbliższa jest boskości, to ziemia najbliższa szatanowi; ziemia, bakterie, gołe stopy w prasach do wina, pot płynący spod pach, nieprzystojne owłosienie – to rzeczy obrzydliwe²⁷.

Jednak, to, co dla wielu zabrzmiało jak nieskrępowany obciach wymierzony przeciwko temperamentom narodowym może być pouczający dla „strony obrazonej”. Szok kulturowy i kontakt z obcym lepszym od nas może stać się potencjalnym czynnikiem sprawczym tak bardzo potrzebnych zmian w ojczystym kraju. Inteligent „re-migrant” jako człowiek już bardziej światowy i ustawicznie tęskniący za czymś nieobecny, odkryje na nowo ubóstwo swojej kultury, zatęskni znów za Zachodem. Gdy powróci do ponurego osiedla w rodzinnym mieście, dumnie będzie się obnosił ze swoim doświadczeniem podróżniczym przed szarymi ziolkami. W duszy zapraśnie przyczynić się do rozchwiania tej wiejskiej stagnacji swojej ojczyzny.

Migrant-anglista chyba jednak najlepiej się czuje u siebie. Jest kimś, bo zna angielski lepiej niż inni i jest w stanie to i owo sobie zmonopolizować. „U siebie” znaczy rządzić sobie po swojemu, stworzyć polskie kryteria postrzegania kultur obcych ze swobodą niespotykaną w innych kręgach zawodowych. Przecież w tej

27. Michael Novak, *Przebudzenie etnicznej ameryki*, przeł. Hanna Pawlikowska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1985, s. 159–160.

dziedzinie, czyli na ziemi niczyjej między językami i kulturami, nikt go nie jest w stanie sprawdzić i rozliczyć. W „tych sprawach” jest się tu w pewnym sensie pionierem, tworzy się „nowy” język angielski na potrzeby polskiego rynku, polskiego szkolnictwa, polskich nawyków, polskich nadziei i polskich marzeń. Angliści lubią podrabiać „akcenty” i podzielić się roboczo na filologów amerykańskich i brytyjskich. Mało kto wie, że dla rodowitych użytkowników tego języka taki podział jest czymś niezrozumiałym. Dla Brytyjczyka, nawet ci świetnie naśladowujący dźwięki mowy angielskiej nie mówią *British English* – po prostu, są lepiej „zrozumiali” niż inni, mniej zdolni obcokrajowcy. Jeśli się znajdzie ktoś, kto potrafi dobrze podrobić jakąś odmianę angielskiego jest to raczej uparty amator–pasjonat, być może przy okazji neurotyk, z dobrze wyrobionym zmysłem muzycznym i umiejętnościami zachowania stałej rytmiki artykulacji. Każdy, kto próbował grać poważniej na jakimś instrumencie muzycznym, wie że to trudna i czasochłonna sztuka. O wiele łatwiej jest Polakowi dobrze „brzmieć” po francusku lub po włosku. Istotnie kultura języka angielskiego, już nawet w obrębie stosunkowo niewielkich terytorialnie wysp, szczyci się szczegółami i niuansami, o których wielu „słabszych” anglistów nie ma pojęcia. Ale zdrowy rozsądek podpowiada, że przyswajanie sobie obcości na swojski sposób to niekoniecznie karygodne zjawisko. By się zmieniać na lepsze i awansować cywilizacyjnie, widocznie należy jednak utworzyć „interkulturę”, czyli kulturę pośrednią, która ukształtuje dobre formy indywidualizmu i pozwoli na zmierzenie się z obskurantyzmem wpojonym narodowi przez konserwatywną tradycję. Powstaje więc *Polish English*, kulturowe *ani ani*, dziwny bufor – taka edukacyjna kwarantanna, zdecydowanie przyjaźniejsza dla początkującego ucznia języka obcego niż szok kulturowy na ulicach czystszej i bardziej kolorowej cywilizacji. Specyficzny import obczyzny obowiązuje też inne dziedziny, a wszystko zaczęło się prawdopodobnie już kilkaset lat temu od kalkowania włoskich wzorców w renesansie i naśladowanie francuskich manier w wiekach późniejszych.

My, Polacy lubimy takie swoje mimetyczne *ani ani* i jakieś „pomiędzy”. Raczej nie potrafimy swobodnie tworzyć lub wdzięcznie dopasowywać element do większej całości, czego przykładem jest nasz krajobraz miejski lub... wiejski. „U nas” estetyka funkcjonalna nie istnieje – nie postrzegamy zasadniczych, rażących niedociągnięć w sztuce gospodarowania przestrzenią życia. Jeśli angażujemy się w coś, wymagamy od innych bezwarunkowego podporządkowania się naszej osobistej wizji działania; miewamy doskonałe koncepcje, których nie potrafimy choćby „przyzwoicie” zrealizować, piszemy poważne książki, które niczemu nie służą lub powtarzają jałowo te same treści od lat. Polscy pomysłodawcy potrafią wiele pod względem teoretycznym i „technicznym”, ale nie potrafią przygotować ostatecznego produktu, by go dobrze sprzedać.

Jako reprezentujący „pogańską postawę wobec życia”, lubimy cieszyć się z nieszczęścia tych, którzy aspirowali wyżej od nas; o sprawach naprawdę istotnych rozmawiamy nieszczerze lub w okolicznościach niesprzyjających trzeźwemu osądowi²⁸. Potrzebny jest właściwy przykład, nb. tu o wiele zabawniejszy niż przytoczony wyżej dowcip. Rzecz niby o teatrze, ale schemat działania jest bardzo charakterystyczny dla tradycyjnego uczonego, bądź inteligenta.

Istnieje pewien eseista, reżyser i historyk teatru, ktoś, kto w pełni zasługuje na nieco staroświeckie miano znawcy. Rozmowa z nim bywa bardzo pouczająca metodologicznie. Otóż o tym wszystkim, nad czym pracują historycy teatru – w tradycyjnym rozumieniu tego słowa – on mówi tylko przy wódce, a i to dopiero nad ranem. To wydaje mi się najdoskonalszym komentarzem do tych opasłych, pełnych pracowitości tomów, jakie wychodzą spod pióra historyków żmudnie ustalających terminy premier, zmiany i zastępstwa obsadowe, daty występów na scenie macierzystej i – na przykład – w objeździe²⁹.

Być może, skoro twórczy i rzeczowi stajemy się dopiero po wódce, na trzeźwo wolimy krytykować innych lub podkradać obce pomysły. To, co uprawiamy jako wkład do światowej kultury przeważnie zdradza jakiś aspekt naszej prowincjonalności. Zwykle wykupujemy licencję na jakiś produkt intelektualny i nadajemy mu bardzo specyficzny polot, zupełnie obcy i egzotyczny dla przeciętnego mieszkańca Zachodu. W latach osiemdziesiątych ci obcokrajowcy, którzy zetknęli się z polską muzyką rockową twierdzili, że „u was” wszystko, nawet *rock*, zajężdża tym „waszym systemem”³⁰. To prawda. Wiele się dzieje tam, gdzie rzadko sięgają wielkie filozoficzne, etyczne i politologiczne pojęcia. Widzimy, że studia kulturowe mają za zadanie poważnie potraktować, na przykład, zjawisko smaku, gustu, i kuriozalnych, „lokalnych” upodobań estetycznych. Nic może tak bardzo nie dyskryminuje jednostki w młodym otoczeniu jak rażąco niemodny styl ubierania się (por. zjawisko tzw. *wulcostwa*) lub zamiłowanie do przebrzmiałych przebojów.

28. Przedstawioną tu problematykę (polskości, polonii, bolączki inteligentów polskich) wyjątkowo zręcznie i przekonująco przedstawił Marek Koterski w filmie *Dzień świra* (2002) oraz Janusz Zaorski w *Szczęśliwego Nowego Jorku* (1998). Kwaśny cynizm takiej reprezentacji rodzimych stereotypów współczesnych jest również dobrym przykładem sposobu, w jakim twórcza inteligencja (krytyczna wobec mitów narodowych) artykułuje swoje poglądy. Cierpki, czy wręcz sarkastyczny ogląd krytycznego artysty polskiego kontrastuje, na przykład, z ciepłą, często surrealistyczną satyrą twórców czeskich; nowa fala (1962–1972) – Jiří Menzel, Milos Forman, Věra Chytilová lub, młodsze pokolenie, np. Peter Zelenka.

29. Zygmunt Greń, *Teatr i absurdy. Szkice*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1967, s. 178.

30. Wypowiedź Zbigniewa Hołdysa o prywatnej, „zagranicznej” ocenie drugiej produkcji solowej Grzegorza Ciechowskiego (*Obywatel G.C., Tak. Tak*, 1989), superprodukcji polskiego rocka, promowanej serią koncertów naśladowujących mega-pokazy multimedialne np. *Pink Floyd*.

Styl i *mimesis* w wielu sytuacjach kulturowych bywa ważniejszy od merytorycznej treści. Nowa fala, punk i początki rodzimego heavy-metalu postawiły jasno na bunt zarówno przeciwko bombastycznej estetyce systemu jak i tradycji mieszczańsko-katolickiej. Jednakże te bardziej artystyczne i progresywne, poniekąd wrogie dla systemu gesty subkulturowe – zaczęły się od bikiniarzy – dokonały dość niezręcznych pod względem treści ideowej zapożyczeń. Czyli, inaczej, awans artystyczny – tak jak u młodych, „otwartych” intelektualistów awans czytelniczy (poststrukturalizm, teoria krytyczna) – przejawiał ignorancję wobec fundamentalnego sensu adoptowanych słów, treści, manifestów werbalnych i odniesień akademickich. Zdawkowe kalki stylów wypowiedzi młodych zbuntowanych dość nieprzytomnie przejęły elementy wysławiania np. *Mothers of Invention*, później *Sex Pistols*, które miały sens jedynie w kontekście kryzysów społecznych najlepiej rozwiniętych demokracji Europy Zachodniej i Stanów. Miarą wielkości bywał i jest też zawsze jakiś obcy paradygmat – eidetyczny wzór doskonały – francuski lub amerykański, w każdym bądź razie zawsze niepolski; Zbigniew Cybulski – polski James Dean, Czerwone Gitary – polskie *The Beatles*, Czesław Niemen – twórca poniekąd bardzo oryginalny – w momentach szczytowych ekstrawagancji twórczej dokonał „fuzji” narodowej liryki z *soulem* oraz modną wówczas estetyką psychodelicznego *fusion* – tu w sposób dość oczywisty podrabiając dokonania sonoryczno-harmoniczne Rogera Watersa i Davida Gilmoura. Chodzi jednak też o niuanse tekstualne. Krzysztof Jaryczewski, „frontman” *Oddziału Zamkniętego* wyśpiewywał bez ironii „reklam, wystaw – pełno tego”, a Ryszard Riedel poszedł na niepotrzebną w kontekście „śląskiego bluesa” latynowską stylizację domu jako *hacjendy*. Naturalnie – często w kalkach chodzi o zmylenie ograniczeń cenzuralnych – tak jak w tytule *Andzia* – czyli o powierzchowne zamaskowanie zakazanego słowa (tu „gandzia”, czyli *marihuana*), ale nie zawsze. W przypadku „pełno tego” i „hacjendy” (potrzeba krytyki realistycznej woła o, odpowiednio, *puste półki* i *familok*) jest to raczej instynktowne małpowanie konwencji lirycznej. Najwidoczniej polski artysta po prostu chce się cieszyć tym, co go „kręci” – nawet jeśli nie ma w tym geście logicznego, ideowego przesłania – a nie tym, do czego zmuszają go od lat instytucje represji politycznej (reżim komunistyczny, szkoła ofiarniczego patriotyzmu, kościół, edukacja pod znakiem zakuwania, itd.)

Dlatego też, o ile legendy młodych typu Wojacek lub Bursa potraktowali poszukiwanie idiomu twórczego jako zadania honorowe poety, teksty popowo-bluesowe brzmią często bardzo wtórnie, czy wręcz naiwnie i bezmyślnie. W każdym opisywanym przypadku importu idei – zarówno w kontekście akademickim (odniesienia do teorii, które do naszej kondycji nie pasują), jak i popularnym (śpiewanie anglo-amerykańskich piosenek) mamy do czynienia ze zjawiskiem jakiegoś kolektywnego *mimetyzmu*. W tym przypadku chodzi o biernie naśladowanie „obcych” środków wyrazu, i to może, tak jak u René Girarda, raczej w negatywnym

znaczeniu tego słowa. Takie zestawienie wciąż może zabrzmieć jak prowokacja w naszym poczuciu zmysłu krytyki kultury, ale tego typu transgresje dyscyplinarne są od lat na porządku dziennym badań w stylu *culture studies*.

* * *

Kimże jest anglista – przedsiębiorczy handlarz, kiedy trzeba komunista lub hipis, kiedy trzeba – kapitalista i menedżer? Jeśli niewiele potrafi, zasila szare szeregi inteligencji uczącej *gdzieś* dzieci, ale niekoniecznie jako czynnik sfrustrowany. Warto zauważyć, że Anglistka jako nauczycielka zwykle bywa bardziej atrakcyjna, światowa i permissywna niż pozostali członkowie tak zwanego grona pedagogicznego. Są zatem angliści „minimaliści”, nie wymagający wiele od siebie, jak i angliści wyróżniający się w taki czy inny sposób ciekawszymi ambicjami i światowością. Wszystkie kategorie charakteryzują się tym, że wciskają obcy towar, ale bardzo pożądanym na rynku. Towar nie jest oryginalny – ale tak naprawdę nie można go podać w satysfakcjonującej i przyswajalnej postaci właśnie bez pośrednika, który odważył się wysunąć nos poza zaściankowe podwórko swoich cholerycznych przodków. Anglista mógł zostać kiedyś członkiem „Partii” i, patrząc z perspektywy dłuższego czasu, bardzo dobrze na tym wyjść. Równie dobrze mógł trafić gdziekolwiek indziej. To dzięki niemu uczymy się lżej elastyczności pogłądowej, do której zwykle prowadzi doświadczanie naszej „rodzimości” z różnych perspektyw i obcych punktów widzenia. Obecność języka angielskiego w naszym życiu to nie tylko wielki cień symbolicznego „wielkiego brata”, jedynego uniwersalnego środka porozumiewania się całej ludzkości, ale również optymistyczny, wielobarwny znak nowych czasów. *English* to karnawaliczny język muzyki pop i teledysków, w którym nie ma już miejsca na puryzm polityczny, narodowy lub rasowy, a każdy, kto się z nim poważnie zajął pozostanie człowiekiem bardziej otwartym na świat niż inni. Są powody by sądzić, że zmierzamy w kierunku kultury Orfeusza, który zostawia niewiele dla lokalnych Prometeuszów, zwłaszcza tym uzależnionym od wielkich słów i deklarującym wszystko bardzo zobowiązującym, a dokładniej, zobowiązujących wszystkich językiem³¹. Niniejszy szkic nie jest peanem na cześć anglisty – ten „typ” ma prawo nie spodobać się nawet temu, kto niekoniecznie pragnie padać Rejtanem w obronie tradycyjnych wartości i mitów narodowych. Ostatecz-

31. Herbert Marcuse, *Eros i cywilizacja*, przeł. Hanna Jankowska i Arnold Pawelski, Warszawskie Wydawnictwo MUZA, Warszawa 1998, por. rozdz. VIII, s. 163–175. W sposób literacki, przez co może też „ostrożny”, Marcuse dopuszcza możliwość zaistnienia kultury Narcyza i Orfeusza – sceptycznie nastawionej do etosów cierpiętniczych i przymusu wyteżonej produktywności. Jest to swoista, „wstępna” wizja czegoś, co można by nazwać kulturą niezdeformowaną nadrepresją podyktowaną bezwzględny przymusem działania.

ną ocenę każdy pozostawia dla siebie – ulegniemy przyjaznej i modnej ostatnio zasadzie *I am not judging you (but..., czyli „ale” w domyśle.)* Są więc powody, by sądzić – i tu czas na „ale” oraz podsumowanie – że „liczący się” anglista przełomu epok pozostał, jak przystało na Polaka z obciążeniami genetycznymi szlachcica, człowiekiem trochę dwulicowym, zmanierowanym – gotowym dobrać sobie towarzystwo na zasadach koteryjnej selekcji. Są również powody, by sądzić – a kwestię tą pozostawimy otwartą – że w postaci elitarnej anglistę może czekać – *very shortly* – los wspomnianych wyżej inteligentów „budżetowych”.

